

## WASZAK, DŻAMAHIRIJA I JUMBO JET'Y

Niedzielę 6 1997 kwietnia spędzałem jak Pan Bóg przykazał na łonie rodziny w moim puszczykowskim domu. Żona w kuchni pichciła smakowitości, dzieci brykały, kot mruczał. Pełna sielanka. Nic nie zapowiadało wydarzeń nagłych a niezwykłych, które mogłyby zmącić uroki mieszczańskiego życia.

Nagle zadzwonił telefon. Okazało się, że dzwoni prezes JKM. Telefon od prezesa w niedzielne popołudnie musiał rzeczywiście zwiastować sprawy nagłe i niezwykłe.

- Panie Mariuszu - usłyszałem - zdaje się, że lubi pan i zna Afrykę?

- Owszem panie prezesie - odrzekłem podejrzewając najgorsze - lubię i znam Afrykę

- A co pan robi w najbliższy weekend? - Zainteresował się prezes

- A co mam robić? - Spytałem wystraszony

- Och, nic takiego, po prostu w sobotę poleci pan do Wielkiej Dżamahirji.

- Dokąd?!

- No, do Libii, mam zaproszenie. Ale ja, wie pan, ta moja noga jeszcze nie całkiem sprawna. Poleci pan zamiast mnie. Zresztą kto ma jechać do Afryki, jeśli nie pan. Proszę przyjechać do Warszawy i załatwić wszelkie formalności. W sobotę pan wyfruwa. Do widzenia!

- Do widzenia.

Dzień później trzymałem w ręku faks zaczynający się od słów:

*Sekretariat Powszechnego Komitetu Wielkiej Dżamahirji ma zaszczyt zaprosić Pana do wzięcia udziału w IV Festiwalu Przyjaźni i Pokoju, który odbędzie się w Wielkiej Dżamahirji w dniach 14 - 15 kwiecień 1997 roku, poświęconego prowadzenia otwartego Międzynarodowego dialogu.....*

Dwa dni później byłem w Warszawie. Załatwienie wizej, arabizacja paszportu i inne, takie tam sprawy poszły nadzwyczaj sprawnie. Zostałem zaopatrzony też w *Zieloną Książkę* autorstwa Muamara el-Kadaffi'ego. Ciekawa lektura.

A więc lecę do Libii (pardon Wielkiej Dżamahirji). Najpierw Warszawa - Frankfurt nad Menem potem Frankfurt - Malta gdzie pożegnaj się z Lufthansą i promem udam się do portu Djerba i Trypolis. Mało tego - będzie towarzyszył mi tłumacz języka arabskiego i to w randze profesora!

W sobotę zameldowałem się na warszawskim Okęciu. Czekałem na profesora, który miał towarzyszyć mi w podróży. Na próżno. W ostatniej chwili zjawili się trzej pracownicy ambasady libijskiej, którzy oświadczyli, że mój towarzysz podróży rozchorował się i muszę lecieć sam. Ponad to zapewnili mnie, że na lotnisku na Malcie znajdują się specjalne biura festiwalu, które zajmują się gośćmi udającymi się do Wielkiej Dżamahirji tranzytem. Miałem zgłosić się do jednego z takich biur skąd miano skierować mnie dalej.

W kolejce do odprawy celnej moi libijscy znajomi zauważyli swojego rodaka - przypadkowego pasażera, który wracał do domu. Po krótkiej wymianie zdań (po arabsku) powiedzieli mi, że on wszystko wie i skieruje mnie tam gdzie należy.

OK.! - poleciałem.

Z powodu warszawskiej śnieżycy samolot przybył do Frankfurtu z godzinnym opóźnieniem - czasu na przesiadkę nie było wiele. Arab, który miał towarzyszyć mi w podróży "zadział się" już w Warszawie - ja leciałem w *Business on Economic Class*.

Potężny Jumbo Jet Lufthansy dostarczył nas na Maltę w trzy godziny.

Obserwując niewielką Maltę z pułapu 11 000 metrów miałem wątpliwości czy ogromny Jumbo da radę na niej wylądować.

Jakoś wylądował.

Przygody zaczęły się zaraz po otrzymaniu wizy (Malta wymaga wiz, ale nie ma z nimi problemu - na lotnisku każdy dostaje od ręki) tranzytowej.

Najpierw okazało się, że mojemu libijskiemu satelicie zaginął bagaż. Biedak był zrozpaczony. Zaprowadziłem go działu reklamacji bagażowej gdzie sympatyczne panienki z *Air Malta* obdarowały go stosownym, okazałym formularzem. Przyglądał mu się z zabobonnym lękiem. Dobra, wypełniłem formularz pod jego dyktando oddałem panienom i wyszedłem z sali odpraw.

No, teraz tylko do biura festiwalu i dalej do Libii. Obszedłem całe lotnisko i jego okolice w poszukiwaniu tego biura i... ani bee, ani mee, ani kukuryku. Przemiałym paniom w *Information* i w *Custom service* oczęta na wierzch wyłaziły - nigdy o czymś takim nie słyszały. Indagowany inny pracownik lotniska skierował mnie do biura w stolicy Malty La Valette, które organizowało szczyt... Arafat - Natanyahu. Nie, to zupełnie nie to.

Trudno. Jadę na własną rękę.

Zapakowałem mojego Libijczyka do taksówki i pojechałem do portu.

Okazało się, że faktycznie wkrótce wypływa statek do Trypolisu. Statek - nie prom. Bierze pasażerów - a jakże. W sali odpraw kłębiło się coś około tysiąca objuczonych nieprawdopodobnymi tobołami arabów i... ani jednego białego. Moje pojawienie wzbudziło sensację. Mój Libijczyk zaczął się trochę denerwować - okazało się, że cały ten tłum spędzi rejs na pokładzie a ludzi jest dziś bardzo dużo i nie będzie miejsca do położenia się - rejs trwa ponad 12 godzin a on jest już trochę zmęczony.

Nie wyglądało to najweselej.

Zaciekawiony zapytałem mojego Araba dokąd udamy się po przybyciu do Trypolisu. Teraz jemu oczy wyszły na wierzch. Okazało się, że nie miał pojęcia, co ze mną począć. O festiwalu usłyszał po raz pierwszy w życiu... ode mnie. Rodaków, którzy rozmawiali z nim na warszawskim lotnisku nie znał i nie dali mu żadnych instrukcji, dokąd właściwie ma mnie skierować. Wiedział tylko, że do Trypolisu.

Ładna historia.

W portowym biurze poinformowałem pracowników o moim zamiarze udania się do Trypolisu i zapytałem, co o tym sądzą. Solidarnie chwycili się za głowy, a jeden z nich podciągnął mnie do okna i pokazał statek, który, jak sądziłem, czekał na remont lub złomowanie - tym chcesz płynąć? - Zapytał - oszalałeś?

Tego nawet dla zaprawionego do różności Waszaka było za wiele. Zszedłem z powrotem do sali odpraw. Po głowach i tobołkach zgromadzonego tam tłumu dotarłem do mojego Libijczyka i poinformowałem go o mojej decyzji: wracam. Odetchnął z wyraźną ulgą.

Pojechałem na lotnisko zarezerwować sobie miejsce w jakimś samolocie i przedłużyć wizę - chciałem zostać na Malcie, choć kilka dni skoro już na nią przyleciałem a wizę miałem tylko tranzytową. Na lotnisku okazało się, że wizę oczywiście mogę przedłużyć bez żadnego problemu, muszę tylko, choć na chwilę opuścić terytorium Malty - zaproponowali mi rejs na Sycylię i z powrotem. Kadaffi, Arafat, Libia, Natanyahu a teraz *Cosa Nostra*? Wystarczy! Jutro wracam do Frankfurtu. Mam samolot za około 24 godziny. Na kolanie z mapą w ręce przygotowałem plan intensywnego zwiedzania niewielkiej przecież Malty. Przez następne 20 godzin w szaleńczym (JKM byłby ze mnie dumny) tempie zwiedzałem przepiękną Maltę. Przez pozostałe dwie godziny spałem i brałem prysznic.

Zwiedzanie Malty rozpocząłem od odwiedzenia tajemniczej, legendarnej, megalitycznej "świątyni" w Bugibbie. Pisał o niej wiele Erich von Daniken. Danniken twierdzi, że zbudowali ją kosmici. Obawiam się, że ma racje...

*Mariusz Wasiak*